Bezpłatny dodatek do „Głosu Pomorskiego“

Światek Młodzieży

Tygodnik dla młodzieży Pomorskiej.

Wychodzi co niedzielę

Nr 41. Grudziądz, 1 października 1922 Rok 1.

ORLĘTA.

W czwartą rocznicę walk o Lwów bohaterom poświęcam
Autor.

W mroźny chmurny dzień listopadowy
mała garstka studentów — młodzieży
wzniosła w górę sztandar narodowy
śladem ojców szła bronić rubieży.

Wokół walka wre na śmierć i życie. . .
pośród huku i błysku płomieni
młode Orły krew leją obficie,
gdzie się zorza Wolności rumieni.

Zapał szersze zatacza wciąż kręgi,
głos pobudki daleko się szerzy. . .
krwią zbroczone są pola i łęgi. . .
bohaterską krwią dzieci — żołnierzy,

Dzisiaj lwi gród swobodnie oddycha,
gdy przebrzmiała już surma bojowa . . .
tylko hasłem zwołuje się z cicha
nasza czujna wschodnia straż kresowa.

Tylko szumią żałobne mogiły
i westchnienie ku niebu hen leci —
młodych Orląt, co pierś swą skrwawiły,
małej garstki bohaterskich dzieci.

Jesień. 1922 roku.

napisał
Przyjaciel Młodzieży.

Małgosia.

(Dalszy ciąg).

Przy śpiesznej pracy, czas jej prędko upływał i nie obejrzała się, jak dnieć zaczęło. Patrzy — lnu już niema i kilkanaście szpulek naprzędła.

Dziwi się jak robota szła jej sporo i zaczęła myśleć, jak przystąpić do tkania bez krosien, gdyż ich niema. Myślała, myślała — aż zasnęła.

Gdy ocknęła się, słońce było już wysoko, na stole zjawiły się różne potrawy, a przy oknie krosna stoją.

Do bliskiego więc ruczaju pobiegła, umyła się, pacierze zmówiła, przy stole usiadła, podjadła i wzięła się do tkania.

Czołenko tak prędko biega, że ledwie cewki zmieniać może wydążyć i oto o południu płótno wytkane.

Na łączkę je wyniosła, w ruczaju zmoczyła, na słoneczku rozciągnęła i w godzinę płótno wybielone było. Powróciwszy zatem do chatki, koszulę skroiła i pilnie szyje.

Już zmrok padać zaczynał, i Małgosia ostatni ścieg zawiązała. Wtem nagle drzwi się otwierają, wchodzi niedźwiedź i pyta:

— Koszula czy gotowa?

A gdy mu ją podała, rzekł:

— Dziękuję ci dzieweczko, muszę ci to nagrodzić. Mówiłaś, że masz złą macochę; jeźli chcesz poślę do niej moich niedźwiedzi, żeby ją wraz z córką rozszarpały. . .

— Ach, nie rób tego, — zawołała Małgosia; — nie chcę zemsty ,niech sobie żyją.

— Niech i tak będzie, zawiń się więc tymczasem koło kuchni, kaszy mi ugotuj na wieczerzę. Znajdziesz wszystko w śpiżarni, a ja pójdę po pościel, bo dzisiaj u siebie nocować będę.

Niedźwiedź wyszedł a Małgosia w piecu rozpaliła i gęstą kaszę gotować zaczęła.

Wtem pod ławą coś zaszeleściało. . . wybiega myszka, chuda, na tylnych łapkach staje i ludzkim głosem rzecze:

Panienko bądź litościwa,
Jestem myszka nieszczęśliwa.
Poratuj mnie w ciężkim głodzie
Poratuję cię w przygodzie.

Małgosia zlitowała się nad myszką i pod ławę łyszkę kaszy jej rzuciła. Myszka podjadła, podziękowała i do nory pobiegła. Wkrótce przybył niedźwiedź, przyniósł brzemię rąbanego drzewa i kamień, poukładał je rzędami na piecu i zjadłszy garnek kaszy wlazł na piec i rzecze:

— Masz dzieweczko, oto te klucze na stalowem kółku, zgaś ogień, chodź po izbie przez noc całą i brzęcz nimi, aż się wyśpię, a gdy jutro ze snu wstanę i zastanę cię żywą —będziesz szczęśliwą.

Zasnął niedźwiedź i chrapie, a Małgosia po izbie chodzi i kluczami pobrzękuje. Wkróce wybiega myszka i rzecze:

— Daj mi panno klucze, ja za ciebie brzękać będę, a ty schowaj się, bo wnet z pieca kamienie polecą. . .

I myszka z kluczami zaczęła około ścian biegać, a Małgosia pod przypieckiem siadła. O północy ocknął się niedźwiedź, kamień z pieca rzucił i pyta:

— Czy żyjesz?

— Żyję — odpowiada Małgosia.

Niedźwiedź coraz częściej zaczął kamienie i polana z pieca ciskać i za każdym razem pytał:

— Czy żyjesz?

Żyję, — głos z pod przypiecka odpowiadał, a myszka ciągle biega i brzęczy. Nad ranem koguty zapiały, niedźwiedź zasnął, myszka klucze oddała i do nory wbiegła. a córka dziadka zaczęła po chatce chodzić i kluczami brzękać. O wschodzie słońca złazi niedźwiedź z pieca i rzecze:

— O Małgosiu, szczęśliwą jesteś bardzo! Bo oto ja, król potężny, w niedźwiedzia zaklęty dotąd, dopóki w tej chatce żywa dusza dwuch nocy nie przenocuje. A że to teraz się stało, znowu prędko człowiekiem zostanę, do mego królestwa powrócę i ciebie za żonę wezmę! . . . Ale nim to nastąpi — spojrz mi w prawe ucho.

Małgosia włosy odgarnęła, i gdy niedźwiedziowi w prawe ucho spojrzała — zobaczyła kraj piękny i rozległy, ludu w nim miljony. góry wysokie, rzeki głębokie, lasy nieprzebyte pastwiska trzodami okryte, wioski zamożne, miasta bogate!

— Co widzisz? — niedźwiedź pyta.

— Piękny kraj widzę!

— To moje królestwo. Teraz w lewe spojrz ucho.

Małgosia patrzy znowu i wydziwić się nie może: widzi pałac wspaniały, na dziedzińcu pojazdy zaprzężone stoją, a w nich szaty złotoliste świecą, ubiory kosztowne, klejnoty drogie.

— Co widzisz dzieweczko?

— To a to — odpowiada.

— Który ci z pojazdów najbardziej się podoba?

— Ten co w czwórkę zaprzężony.

— Dam ci go — niedźwiedź odpowiedział i okno otworzył.

Nagle rozległ się turkot po lesie, ukazał się pojazd złocisty, w czwórkę rączych koni zaprzężony i choć był bez woźnicy sam przed chatką stanął. Niedźwiedź swą narzeczonę ubrał w cudną suknię w brylantowe kolczyki, w naszyjnik z drogich kamieni, w błyszczące pierścienie i rzecze:

— Poczekaj, wnet twój ojciec po ciebie przyjedzie.

A gdy będziesz w domu — za dni kilka, jak moc zaklęcia minie i znowu królem zostanę — przyjadę po ciebie i zostaniesz mą żoną, kraju mego królową.

To rzekłszy niedźwiedź poszedł w głąb lasu i zniknął, a ... gosia wygląda, czy jej ojciec nie jedzie. Zostawiwszy w lesie swą córkę, dziadek wrócił do domu, smutny i zapłakany, a gdy trzeci dzień nastał, założył konia i znowu do lasu pojechał, by jeszcze raz córkę zobaczyć, a gdy nie żywa, to nad kośćmi popłakać. Pod wieczór baba ze swą córką, Hanką, przez okno wygląda a piesek nagle rzucił się i szczeka:

Hau, hau, dziadek jedzie
Hau, hau, hau, córkę wiezie,
Z ubiorami, z klejnotami,
Z królewskimi podarkami. (D. c. n.)

LOKATORZY.

ISKIERKA

Fraszka sceniczna w 1 akcie.

(Ciąg dalszy).

Kazio:

O, ja boję się... (po chwili). Słuchaj Zosiu, jak wyrośniesz, kim będziesz?

Zosia (dumnie):

Jak dorosnę zostanę doktorem!

Kazio:

Tak? To ja w takim razie pójdę na księdza.

Zosia:

Dlaczego to Kazio — „w takim razie"?

Kazio (lakonicznie):

Bo będę chował wszystkich twoich pacjentów...

(Profesor dzwoni — dzieci zrywają się z ławki).

Kasia (wybiega z pokoiku):

O, nie wszyscy razem; pan profesor będzie gniewał się; po jednemu. Proszę, niech paniczek Leszek idzie.

Leszek:

Nie pójdę, nie chcę, boję się, (grymasi i ręką oczy zasłania).

Kazio:

Idź, Leszku, nie bój się, pan profesor nie połknie przecie ciebie, jak wieloryb.

Leszek:

Nie chcę, daj mnie spokój, (płacze) ja chcę do mamy...

Pan Gderalski (dzwoni niecierpliwie i woła):

Kasiu, dlaczego uczniowie nie przychodzą do mnie? A kto to tam beczy? prowadź tu zaraz do mnie!

Kasia.

Niechże panienka pierwsza idzie prędzej...

Zosia (podchodzi do p. Gderalskiego i dygace).

Prof. Gderalski:

Świdralska Zofja niech powie mi wierszyk, a przekonam się, czy ładnie mów ipo polsku.

Zosia (deklamuje ładnie — potem odchodzi na stronę).

Pr. Gderalski:

Dobrze! następny (do Kazia — który podchodzi) Ile par jabłek możesz kupić zą 100 marek, jeżeli 1 para kosztuje 25 mk.?

Kazio:

Kiedy ja nie mam 100 marek.

Prof. **Gderalski:**

Więc przypuśćmy — że ci dał wujaszek.

Kazio:

. O, to pan profesor nie zna mego wujaszka, kiedy myśli. że on mi da!

Prof. Gderalski:

Et, widzę, że chcesz wykręcić się, bo nie umiesz. . . — No a powiedz jakie zwierzę ma rogi?

Kazio (prędko bez zastanowienia):

Owca proszę pana.

Leszek (słucha uważnie i woła):

O! kozioł a nie owca!

Prof. Gderalski:

Wstyd że Fujarkiewicz Kazimierz tak nie uważa! Chodź ty, Beksalski — i powiedz mi co robi zając?

Leszek (podchodzi i mówi):

Buty czyści ślicznie tatusiowi!

Profesor (zdziwiony):

Jakto, zając?!

Leszek:

Tak, tak błyszczą jak lustro, kiedy nasz ordynans Zając, wyczyści je. . . .

Prof. Gderalski.

E, obaj nic nie umiecie i do szkoły jeszcze was nie przyjmę! (Kazio i Leszek udają że płaczą, Zosia ich uspakaja).

Prof. Gderalski.

Czy tam jest jeszcze kto do egzaminu?

Lusia (cichym, piskliwym głosem):

Jeszcze ja jestem. . .

Prof. **Gderalski:**

A, Piszczałkiewiczówna Łucja, dobrze. No powiedz mi ile dzień ma godzin?

Lusia:

Dwadzieścia dwie.

Prof. Gderalski:

Co takiego?

Lusia:

Pan nauczyciel mój mówił że teraz dzień jest krótszy.

Prof. **Gderalski:**

Powtarzasz jak papuga i wcale nie myślisz nad tem co od-

powiadasz. . . . — Kasiu już egzamin skończony. Podaj mi laskę i kapelusz — wychodzę. (Kasia podbiega i podaje. Profesor Gderalski wychodzi mówiąc:) A wy dzieci możecie iść do domu: przygotujcie się lepiej. (Dzieci mają miny pokwaszone).

Kasia.

Nie smućcie się. Dobrze, że pan Gderalski poszedł, więc chodźcie zabawimy się. Zrobimy kółeczko i pośpiewamy sobie. (Dzieci zadowolone biegną i śpiewają. P. Mądralski budzi się i woła z gniewem):

p. Mądralski:

A to co za heca?

Kasia.

Niech pan gospodarz nie gniewa się kiedy tak wyspał się i wychrapał, a idzie do nas i zabawi się z nami. (Wychodzi fotograf). I pan też, panie fotografo-malarzu (wszyscy) prosimy, prosimy! (Zjawiają się też baron i posłaniec; robią koło, potem 2 kółka, w końcu 4, kręcąc się i przyśpiewując z życiem.)

(Po zabawie zasłona spada).

KONIEC.

Michałko.

Na niebrukowanej ulicy, gdzie stało zaledwie kilka domów, kręcili się trwożnie (strwożeni) ludzie. Krzyczeli i pokazywali rękami niewykończoną budowlę, przed którą leżały deski, połamane słupy i świeże gruzy. Nad wszystkiem unosił się czerwony pył cegły.

Michałko przybiegł bliżej. Tam już zobaczył, co się zdarzyło. Oto — nowy dom zawalił się.

Cała jedna ściana rozsypała się od góry do dołu, a druga w większej swej części.

W poszczerbionych murach wisiały futryny, a dwie belki, przeznaczone do dźwigania sufitów, opadły, pogięły się i potrzaskały, jak wióry. W oknach sąsiednich domów ukazały się zalęknione kobiety. Ale na ulicy, prócz robotników, było ledwie kilka osób. Wieść o wypadku nie zdążyła dojść jeszcze do środka miasta.

Pierwszy oprzytomniał główny majster.

— Czy nie zginął kto? — pytał drżący.

— Zdaje się, że nie. Wszyscy byli na śniadaniu.

Majster począł rachować swoich, ale wciąż mylił się.

—Czeladnicy są.

— Jesteśmy.

— A pomocnicy?

— Jesteśwa.

— Jędrzeja niema! . . . — odezwał się jeden głos.

Obecni na chwilę oniemieli.

— Tak, on był wewnątrz.

— Trzeba go szukać! — rzekł majster ochrypłym głosem.

I poszedł ku przewróconemu domowi, a za nim kilku śmielszych. Michałko zbliżył się także.

— Jędrzeju! . . . Jędrzeju! — wołał majster.

— Usuń się pan — ostrzegli go — ta ściana ledwie wisi.

— Jędrzeju! Jędrzeju! . . . .

Z wnętrza domu odpowiedział jęk.

W jednem miejscu ściana była rozdarta na szerokość drzwi.

Majster zabiegł z tamtej strony, zajrzał i chwycił się oburącz za głowę. Potem jak szalony popędził do miasta.

Za ścianą wił się w boleściach człowiek. Obie nogi zdruzgotała i przycisnęła mu belka. Nad nim wisiało urwisko muru, który pękał coraz mocniej i lada chwilę mógł się oberwać.

Jeden z cieślów począł oglądać miejscowość; skamienieli z trwogi robotnicy, patrzyli mu w oczy, gotowi pójść — jeżeli ratunek jest możliwy.

Ranny konwulsyjnie wykręcił się i stanął na rękach.

Był to chłop. Miał czarne z bólu usta, szarą twarz i zapadłe oczy.

Patrzał na ludzi, stojących o kilkanaście kroków od niego. Jęczał, ale wzywać o ratunek nie śmiał. Mówił tylko:

— Boże mój! . . . Boże miłosierny! . . . . .

— Tu nie można wejść — rzekł głucho cieśla.

Gromada cofnęła się w tył.

Między nimi stał Michałko, przerażony może więcej, niż inni.

Strach, co się z nim działo! . . . Czuł ból rannego, jego bojaźń, rozpacz, a jednocześnie czuł jakąś siłę, która popychała go naprzód. Zdawało mu się że w tłumie nikt, tylko on jeden ma obowiązek i musi ratować człowieka który przyszedł tu ze wsi na zarobek. I w tej chwili, kiedy inni mówili sobie: „pójdę“, on myślał

— Nie pójdę! Nie chcę!

Obejrzał się bojaźliwie. Stał sam jeden przed gromadą, bliżej muru, niż inni.

Nie pójdę! — szeptał i — podniósł drąg, który leżał mu prawie przy nogach.

— Między ludźmi szemrano.

— Patrzcie! . . . . co on robi?

— Cicho!

— Boże miłosierny, zmiłuj się! — wołał ranny, szlochając z bólu.

Idę! Idę! rzekł Michałko i wszedł między gruzy.

— Zginiecie obaj! — krzyknął cieśla.

Michałko był już przy nieszczęśliwym.

— Bracie mój! Bracie! . . . szeptał ranny i objął go za kolana.

Chłop podsunął drąg pod belkę i rozpaczliwym ruchem podważył ją. Rozległo się trzeszczenie, a z wysokości drugiego piętra spadło kilka cegieł.

— Wali się! krzyknęli robotnicy, rozbiegając się. Ale Michałko niesłyszał, nie myślał, nie czuł nic. Silnem ramieniem podparł znowu drąg i już całkiem usunął belkę ze zmiażdżonych nóg leżącego człowieka.

Z góry posypały się gruzy. Czerwony pył zakłębił się, zgęstniał i wypełnił wnętrze budynku. Za ścianą słychać jakieś szamotanie się. Ranny jęknął głośniej i nagle ucichł.

W otworze rozdartej ściany ukazał się Michałko zgięty, z trudnością dźwigający rannego., Powoli przeszedł niebezpieczną granicę i, stanąwszy przed tłumem. zawołał z naiwną radością:

— Jedzie! Jedzie! . . . Jeno mu tam jeden but został.

Robotnicy schwycili rannego, który omdlał i ostrożnie zanieśli do najbliższej bramy.

— Wody . . . . wołali.

— Octu! . . .

— Po doktora! . .

Michałko pwlókł się za nimi, myśląc:

— To ci dobry naród w tej Warszawie!

Zobaczył, że ma okrwawione ręce, więc umył je w kałuży i stanął pod bramą domu, gdzie leżał ranny. Do środka się nie ochał. Alboż on doktor? czy mu co poradzi?

Tymczasem ulica poczęła się zaludniać. Nowy tłum, już takich, którzy chciwi wrażeń, skupili się przed bramą, a gorętsi torowali sobie pięściami drogę dla zobaczenia krwawego wypadku.

Jednemu z nich, stojący przy furtce Michałko zawadzał.

— Usuń się gapiu jakiś! — krzyknął jegomość, widząc, że bosy chłop niebardzo ustępuje pod naciskiem jego ręki.

— A bo co? — spytał Michałko, zdziwiony tym zapędem.

— Coś ty za jeden zuchwalcze jakiś? — wrzasnął ciekawy. — Co to niema policji, ażeby takich próżniaków rozpedzała? . . .

— Oj! na złę idzie! — pomyślał skromny Michałek i zląkł się, żeby go za taki występek nie wsadzono do kozy. I, nie chcąc budzić licha, wcisnął się między gromadę.

W kilka minut później zaczęto z bramy wołać tego, który biedaka wyniósł z pod gruzów.

Nie odezwał się nikt.

—Jak on wygląda? — pytano.

To młody chłopak.

— Miał białą sukmanę, okrągłą czapkę i był bosy.

— Niema tam takiego na ulicy?

Poczęto szukać.

— Był tu taki — krzyknął ktoś — ale poszedł i — nie znaleźli Michałka — bohatera.

Nadesłał Zagłoba.

Tłoczono w Drukarni Pomorskiej w Grudziądzu.